Nr 8. We Lwowie dnia 21. lutego 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

O kwestji tak zwanej „kobiecej“

ZE STANOWISKA NAUK PRZYRODNICZYCH

Dr. B. Dybowski.

(Dokończenie).

Starajmy się więc przedewszystkiem o równouprawnienie, ale bez żadnych zastrzeżeń, chociażby one były powodowane rzekomą delikatnością naszą w rodzaju tych np., które poczynił G. T. W. Patrick*), gdy powiada: »Czy kobieta nie jest czemś zbyt świętem, ażebyśmy ją brutalnie rzucać mieli w wir życiowej walki, czy nie zasługuje ona, ażeby ją mężczyzna uwolnił od niektórych obowiązków, do jakich sam dobrze się czuje usposobionym dzięki swej naturze niespokojnej i czynnej«. Takie zastrzeżenia i delikatność taka mogą tylko budzić poniekąd słuszną obawę w niewiastach, że cały ocean obłudy ukrywać się jest w stanie za tym parawanem czułości niewczesnej. Usuńmy więc na stronę tego rodzaju delikatność naszą, dajmy owszem kobiecie wolność wyboru zupełną, bez zastrzeżeń i bez wykrętów, niech one mają dostęp do przybytku i wiedzy, i cnoty, i czynu, do wszystkich godności i wszystkich zajęć społecznych. Na tem tylko sami skorzystać możemy, bo one wniosą wszędzie ze sobą wszystkie te przymioty swej natury altruistycznej, które uszlachetnią nasze godności, zajęcia i nas samych.

Zamiast tej sporej ilości łapowników lub opojów, jakich widzimy np. na wschodzie, bylibyśmy może mieli rzetelnych i trzeźwych urzędników państwowych. Zamiast handlarzy niesumiennych, wyzutych z uczuć moralnych, jakimi są w wielu krajach kupcy zawodowi, mielibyśmy może rzetelnych pośredników pomiędzy wytwórcami i spożywcami. Zamiast przedajnych adwokatów, na których w wielu bardzo miejscach się uskarżają obecnie, będziemy mieć mogli prawdziwych obrońców sprawiedliwości. Zamiast znacznego pocztu blagierów, karciarzy i zdzierców medyków, o których tak często w ostatnich czasach mówi się na zachodzie, bylibyśmy może mieli lekarzy oddanych swemu zawodowi, miłujących swych pacjentów. Zamiast o synekurach i własnych interesach tylko marzących posłów, jak się to dzieje często w parlamentach, będziemy może mieli gorliwych patronów spraw społecznych. Zamiast krętaczy politycznych, tak częstych w zawodach rzeczonych, bylibyśmy może mieli dyplomatów, szanujących prawdę i słuszność.

Zamiast panamistów i panaministów bylibyśmy może mieli skrupulatnych stróżów mienia prywatnego i publicznego. Zamiast uczonych, pracujących dla rozgłosu i reklamy, cierpiących stale na monomanję wielkości, drapujących się w łachmany rycerskie, będziemy może mieli badaczy, oddanych nauce, poświęcających swój żywot z miłości ku prawdzie. Zamiast dziennikarzy gadzinowych lub jaszczurczych, będziemy mieli sumiennych i wytrawnych kierowników opinji publicznej, ludzi nie frymarczących ani swem piórem. ani sumieniem. Zamiast tandetnej często budowy dróg, kanałów i gmachów, będziemy mieli dokładnie sporządzone gościńce, koleje i domy. Zamiast miljardów, rzucanych bezpłodnie w wysokie płace rozmaitych dyrektorów, dygnitarzy i w rynsztunki wojenne, będziemy je wydawali na szkoły, przytułki miłosierdzia i na szpitale. Zamiast niszczyć i tępić plemiona i narody, będziemy je pielęgnowali. Zamiast ciągłej trwogi i niepewności o życie i mienie tysięcy tysiąców, zamiast widzieć naszych bliźnich, pędzących życie w krzywdzie i nędzy całemi miljonami, gdy uprzywilejowanych rzesza tonie w zbytkach i marnotrawstwie — będziemy może mogli oglądać nakoniec dobrobyt i zadowolenie ogólne, bo miłość, wniesiona we wszystkie stosunki społeczne, jest w stanie wytworzyć raj na ziemi, a wtedy zamiast słyszeć na każdym kroku bicie bębnów i sygnały trąbki bojowej, będziemy napawali ucho nasze pieśniami pokoju. A wszakże jedynym kluczem do takiej błogiej przyszłości, o jakiej ma prawo marzyć wyobraźnia, albo-

*) Psychologja kobiety w świetle nowych faktów i teorji str. 31.

wiem opieramy myśli nasze na podstawie poznanych praw przyrody, jest idealna rodzina, której podwaliną powinna być wolna, oświecona, miłująca istota niewieścia.

Badania stosunków społecznych w kierunku rozwoju rodowego stowarzyszeń ludzkich uczy nas, że erę największej szczęśliwości socjalnej przeżywało człowieczeństwo wtedy, kiedy kobieta stała na równi z mężczyzną, gdy miłość panowała nad egoizmem. Chciejmy więc przywołać do życia taką erę równości i cnoty, a mamy niepłonne przekonanie, że się odrodzić zdołają społeczeństwa, pogrążone dzisiaj w egoizmie, a stąd wypływającej najbrutalniejszej niemoralności pomimo swych roszczeń do prawa na miano wysoko ucywilizowanych.

Gdzie potworów moralnych wieńczą laurami zasługi i chwały, gdzie czyny barbarzyństwa odziewają szatą cnoty, gdzie panują systemy rozmyślnie uorganizowane w celu ogłupiania, demoralizowania i tępienia całych warstw społecznych, plemion albo narodów, gdzie najświętsze uczucia ludzkie uznawane bywają za przestępstwa, a najlogiczniejsze poglądy zostają potępiane — tam dla dobra i prawdy, dla prawdziwej cywilizacji i kultury miejsca być nie może.

Gdy kobiety wezmą się do czynu świadome swego posłannictwa odbudowania społeczeństwa na podstawach altruizmu, wtedy tylko będziemy mogli mieć nadzieję, że dojść potrafimy do wyżyn społecznych, o jakich marzymy i do których rwą się dzisiaj napróżno najszlachetniejsze umysły, bo wszelkie próby podniesienia moralności przy pomocy kultury męskiej okazały się i okazać się muszą bezskutecznemi. Nie inne formy pożycia społecznego uszczęśliwić potrafią człowieczeństwo, jak tylko altruistyczne, oparte na podstawach idealnie moralnej rodziny. Stwórzmy ją taką, a reszta będzie nam daną,

Marzenia i dążności ludzi, miłujących społeczność, streszczone zostały w słowach niżej podanych, które uważać można za wyraz pragnień szczęścia i sprawiedliwości dla wszystkich. I tak powiedziano, że »skoro tylko społeczeństwo obejmie w posiadanie środki produkcyjne, to anarchja w produkcji społecznej ustąpi miejsce świadomej i systematycznej organizacji; zniknie wtedy walka o byt i dopiero wtenczas powiedzieć będzie można, że człowiek ostatecznie wystąpił ze świata zwierząt, bo zmienił warunki zwierzęcego bytu na istotnie ludzkie. Cały zakres warunków życiowych, które dotychczas panowały nad człowiekiem, ulegnie jego władzy i kontroli. Ludzie, świadomie ująwszy kierownictwo swej własnej organizacji społecznej i sił natury, staną się istotnymi i świadomymi władcami przyrody. Prawa ich działalności społecznej występowały dotąd w obec nich samych jako żywiołowe, bezlitośne prawa natury; teraz ludzie kierować niemi będą, a tem samem zapanują nad niemi. Własne uspołecznienie ludzi, narzucone im przez przyrodę i dzieje, będzie odtąd wynikiem ich swobodnej działalności. Zewnętrzne siły, które dotychczas panowały nad historją, ulegną kontroli ludzkiej. Dopiero od chwili, kiedy ludzie sami świadomie tworzyć zaczną własną historję, to siły społeczne będą mogły być skutecznie użyte dla celów osiągnięcia żądanych rezultatów. Ludzkość przejdzie nareszcie z okresu fatalizmu do perjodu swobody *).

Szczerze wierzyć chcemy, że lepiej być musi w przyszłości, ale jeżeli tak będzie, to mocno przekonani jesteśmy, że zmiany pożądane

*) Fr. Engels. »Od utopji do nauki«.

DOKTÓR JAN.

I.

W blizkości Wisły ciągnie się długa ulica Czerniakowska. Huczą tam, stukają i gwiżdżą fabryki, rozrzucone wśród wielkich kamienic i małych domków parterowych. Przeciętny Warszawiak nigdy nie był na tej ulicy, a nawet często nie ma pojęcia, w której stronie leży.

Przy początku i końcu dnia roboczego, z wnętrza fabryk wylegają na chodniki gromady zasmolonych ślusarzy, zakurzonych przędzą robotnic, gromady wyrostków uszczęśliwionych swobodą, jeszcze nie utraconą, lub też już na krótko odzyskaną. Wśród idących panuje gwar rozmów, a nieraz i sprzeczek bardzo gwałtownych, dopóki lud pracujący nie rozbiegnie się i nie zniknie w uliczkach Powiśla. Wielu robotników mieszka w parterowych domkach przy ulicy Czerniakowskiej, między innemi Jan Rodek, pracujący w fabryce wyrobów żelaznych.

Jan Rodek to jedna z potęg, królujących wśród dzielnicy robotniczej. Potęg tych istnieje tu dwie: jedną uosabia wyżej wspomniany Rodek, drugą Jan Igielski, doktór medycyny. Pierwszy gromadzi koło siebie czerwone żywioły drugi, wszystkie żywioły bada, wszystkim w chorobie pomaga, niesie swój kaganek oświaty i wątpi nieraz w skuteczność jego blasków. Pomimo to skupia koło siebie potrzebujących. A morze potrzeb tu faluje. Ciemnota, pijaństwo brak zmysłu moralnego, brak chleba, brak pracy i bieda pomimo pracy — to fale tego morza. Jan Rodek i Jan Igielski widzą zło, radziby znieść je doszczętnie — tylko różnemi lekami.

Stąd walka.

Gdy doktór Jan osiadł na Czerniakowskiej ulicy, Rodek nie zwrócił na ten fakt szczególnej uwagi. Cóż go mógł obchodzić jakiś »burżua«? Każdy z nich i wszyscy razem wzięci

otrzymamy nie siłą nienawiści i zemsty, lecz skutkiem gorliwego współdziałania altruistycznej natury kobiecej i przez nią zmienionych warunków bytu. Napróżno silić byśmy się chcieli dzisiaj na wytworzenie najpiękniejszych programów ekonomicznych, wszak wilki i szakale pozostaną krwiożerczemi zwierzętami i pożerać się wzajemnie będą pomimo najidealniejszych konstytucji. Ale wtedy gdy z dzikich zwierząt, dyszących brutalnym egoizmem, wytworzyć się zdołają ludzie sprawiedliwi i uczciwi, to sama przez się zamilknie walka o byt i ustanie nikczemna pogoń za dobrami doczesnemi, gromadzonemi dla celów dogodzenia brudnym instynktom, odziedziczonym po przodkach zwierzęcych.

Lecz wiele jednak wody upłynąć musi, zanim marzenia nasze dzisiejsze staną się rzeczywistością, bo to, co wieki paczyły, przez jedno lub dwa pokolenia wyprostować się nie da. Znojną, długą i usilną pracę mamy przed sobą, ażeby zło wykorzenić, ażeby wyrwać obłudę i egoizm z serc naszych, a zastąpić je szczerością i altruizmem, ażeby z istot dzisiaj zwierzęco-ludzkich wytworzyć się dały charaktery czysto-człowiecze, a wszakże praca chociaż najcięższa odstraszać nas nie powinna, bo cel do którego dążymy, potrafi wynadgrodzić nasze mozoły.

Dziś liczą zaledwie na setki ludzi takich, którzy uświadomić sobie zdołali potrzebę i konieczność zmiany stosunków, cośmy je uznali za złe i szkodliwe, ale niedługo a będą ich liczyć na miljony, a za wieków kilka dziwić się będzie ludzkość, że prawdy tak dotykalne, tak jasne przenikały jednak z taką trudnością do intelektu współczesnych. Dzisiaj narzekają, że zrywające się do czynu niewiasty bardziej hałasują, niż robią, wyładowują one nadmiar sił swoich w sposób może zbyt jaskrawy, ale gdy znajdą w instytucjach i zajęciach upust właściwy dla swojej energji, działać one będą i skutecznie i z pożytkiem.

Dla celów uspołecznienia luźnych gromad ludzkich niezbędne były żelazne dłonie w przeszłości, ażeby wychować ludność przemysłową muszą być fabryki, dla wychowania kobiet w duchu nowych przekonań potrzebne są instytucje odpowiedne. Nie czekać więc, aż kobiety same przez się staną na wyżynach koniecznych, lecz je do tego przysposabiać winniśmy za pomocą instytucji i praw niezbędnych. Wszak nie czekano, aż żydzi galicyjscy staną się ludźmi szlachetnymi, aż poczują oni swój obowiązek obywatelski miłować kraj, który im dał gościnę, lecz pomimo braków rzeczonych uznano ich za godnych do tych praw, któremi się cieszy ludność chrześcijańska, więc i dla sióstr naszych i matek, dla żon i córek miejmy chociażby te same uczucia sprawiedliwości, cośmy je mieć musieli dla żydów galicyjskich. Dajmy kobietom przystęp do wszystkich zakładów naukowych, zmieńmy prawa, które krępują swobodę ich czynności, przyuczmy się widzieć w nich człowieka, a nie samicę ludzką, rzucajmy w taki sposób wedle sił i możności naszej ziarno na glebę już po części przygotowaną, pielęgnujmy kiełkujące latorośle, ażeby plon był jak najprędszy, przyczem uświadomić sobie powinniśmy tę prawdę, której żaden sofizmat gnębicieli zachwiać nigdy nie zdoła, że gdzie panuje ciemnota, gdzie jest niewola czy to ciała, czy ducha, tam szczęścia prawdziwego być nie może, nawet dla samych ciemiężycieli.

Jak wiedzieć nie możemy dzisiaj, po jakich drogach dojdziemy kiedyś do możności odbywania podróży powietrznych, lecz mamy przytem pewność niezawodną, że ten sposób miejsco-

---

godni są szubienicy — jako członkowie klasy wyzyskującej. Ot i wszystko.

Wkrótce jednak zaczęły go irytować pochwały oddawane doktorowi »burżua«. Widział w nich dowód słabej odporności i łatwego przekupienia swych towarzyszy byle ulgą.

Doktór Jan też posłyszał o Rodku, jego teorje ani go dziwiły, ani zrażały.

Szła więc walka, cicha z jednej, podstępna z drugiej strony. Gdzie jest prawdziwe życie, musi być walka, pomimo niej, możnaby doktora Jana nazwać szczęśliwym człowiekiem, miał bowiem możność pracowania według chęci swoich. Zamożny, leczył bezpłatnie ludność roboczą, koił dusze, o ile mógł usuwał nędzę.

Wielu kolegów szkolnych i uniwersyteckich nazywało go wprawdzie narwanym oryginałem, albo człowiekiem małych zdolności, który przynajmniej miał tę zaletę, że siebie sprawiedliwie oceniał. Wiedząc, że nie wytrzyma konkurencji z kolegami, usunął się z drogi, jego praktyki nikt mu nie zazdrościł.

Doktór Jan swemi mądremi, siwemi oczami łatwo wyczytał wydawane o nim sądy, ale nie zmieniał trybu życia i czyhał na sposobność poznania swego wroga. Rodkowi długo zdrowie dopisywało, aż pewnej soboty przytłukł sobie tak silnie dwa palce, że poszedł po radę do »burżua«.

Doktór miał pacjentów huk, ludzie garnęli się do niego, »bo«, mówili, »nietylko darmo leczy, lecz dobry jest, jak ten ojciec dla rodzonych dzieci, każdego wysłucha, każdego wyrozumie«.

Rodek krytycznem okiem patrzał na wzrastającą popularność Igielskiego, i z dość ironiczną miną wszedł do jego poczekalni. Pełno w niej było ludzi, jak zwykle w niedzielę, gdy każdy ma czas swobodny i może pomyśleć o własnem zdrowiu. Był tu także Jakób Wąsal, towarzysz Rodka z fabryki.

— Dali mi dwudziesty numer, odezwał się do Wąsala, a ty który masz?

zmienności prędzej lub później stanie się dostępny dla ludzi, chociażby miał on zmienić wszystkie nasze dotychczasowe stosunki polityczne i społeczne; tak również mogą być nam teraz jeszcze nieznane w całej dokładności tory, kędy kroczyć ma proces, zmierzający do celu wytworzenia stosunków, wobec których kobiety będą miały równy udział z mężczyznami w życiu politycznem, społecznem i naukowem; ale tem nie mniej jesteśmy najmocniej przekonani o tem, że proces taki miejsce mieć będzie, a jakkolwiek grozi on zmianą naszych stosunków życiowych, jesteśmy również przeświadczeni, że z nim nastaną czasy lepsze dla ludzkości. Każda idea raz uświadomiona w jaźni naszej i uznana na mocy logicznego myślenia za pożyteczną dla postępu, urzeczywistnić się musi w czynie, bo nabiera mocy żywiołowej, której nikt i nic oprzeć się nie zdoła. Tem przekonaniem silni kroczyć winniśmy śmiało naprzód „*per aspera ad astra*". Trzeba chyba nie znać natury logicznej myśli, lub zwątpić w prawo postępowego rozwoju przyrody, ażeby módz na chwilę przypuścić z metafizycznymi deterministami, że egoizm dzisiejszy, obłuda, przewrotność trwać będą wieki, że siła pięści rządzić będzie zawsze ludzkością i że kobieta zakuta w niewolę pozostanie taką do końca. Przywykłszy raz do tego, że nikt swych praw, czy to słusznie, czy nie słusznie nabytych, nie składa dobrowolnie na korzyść osób i stanów pozbawionych praw takowych, czekamy, kierując się taktyką strusią, aż nas do zrzeczenia się przywilejów zniewoli ostatecznie przymus wypadków groźnych, na który przy dzisiejszym ustroju naszych społeczeństw czekać nie długo. Otóż jak złe skutki nieoględnego trzebienia drzew zmuszą kiedyś nawet najoporniejszych do zmiany sposobu postępowania w trybie zarządu gospodarką leśną, tak też złe skutki, wynikłe z degradacji kobiet i z pielęgnowania zasady o potrzebie utrzymywania ciemnoty, rzekomo koniecznej dla szczęścia ludzkości — zmuszą ostatecznie do tego, o czem dzisiaj tak niechętnie myśli i mówi ogół uprzywilejowanych, bo rad byłby chwile trwożne i nieprzyjemne dla swego egoizmu odsunąć w dal nieskończoną.

Skorupa jaja ptasiego jest niezbędnym narządem dla rozwoju pisklęcia, ale stałaby się jego zgubą niechybną, gdyby się takowej nie był pozbył w swym czasie. To samo ma miejsce z ludzkością, pozbyć się ona powinna i pozbędzie się niezawodnie tych wszystkich skorup, które jeszcze dzisiaj są uważane za konieczne dla jej szczęśliwości, mianowicie przez te warstwy, którym wobec ciemnoty ogólnej i niewolnictwa kobiet dzieje się niezgorzej na świecie. Altruizm, gdy będzie zataczał coraz szersze koła, gdy będzie przenikał coraz głębiej tak w istotę pojedyńczych ludzi, jak i w samowiedzę całych społeczeństw, zmienić potrafi nareszcie stosunki, które dzisiaj wszyscy bez wyjątku nazywają opłakanymi. Do pielęgnowania, pogłębiania i szerzenia tej najszczytniejszej cnoty ludzkiej, którą nazywamy altruizmem, powołana jest kobieta z tytułu swych zalet przyrodzonych, lecz które przez obecną cywilizację wypaczone i skoszlawione zostały.

Z różczką oliwną miłości braterskiej w dłoni, walcząc ramie w ramie z niewiastą pod wspólnym sztandarem altruizmu, przy głębokiej wierze w lepszą przyszłość — pokonamy nareszcie w sobie Lernajską żmiję egoizmu, ten spadek dziedziczny po zwierzęcych pokoleniach.

— Ja nie dla siebie przyszedłem prosić o radę. Żona chora — odparł chmurnie.

— Wczoraj jeszcze zdrowa chodziła, cóż się jej stało?

Wąsal machnął ręką. Rodek pociągał go bardzo, w głowie mu, jak mówił, rozwidniał. Nieraz sprzeczał się o niego z żoną, która utrzymywała, że w Rodku złe siedzi.

W tem utworzyły się drzwi od gabinetu doktora, wyszła z nich najprzód kobieta z dzieckiem, a potem Igielski.

— Numer piąty!

Wąsal poskoczył ku drzwiom.

— Tylko słówko, panie doktorze?

— Chory! A tobie co?

— Mnie to nic — tylko żonie — dodał zamykając za sobą drzwi gabinetu. Co prawda — to i ja chciałem prosić o radę, choć zdrów jestem.

— Dobrze. O co ci chodzi!

— Żeby to się można... zaczął, żeby to można odzwyczaić się... od wódki, skończył szeptem.

— Czy i żona twoja pije?

— Nie, nie, żywo zaprzeczył — to ja.

— Aha! spiłeś się, wytłukłeś żonę i chcesz żebym ci ją wyleczył? I za co ją bijesz? Czemu z siebie bydlę robisz?

— Panie doktorze, zaczął urywanym głosem to Rodek mnie namówił.

— I znowu ten Rodek.

— Pracuje zemną w fabryce. On już nie w jednem miejscu był, czego on nie wie!

— No i dla tego namawia cię na wódkę?

— To było tak. Wczoraj, poszedłem na Nowy Świat kupić sobie czapkę. Rodek też poszedł ze mną. Póki szliśmy pustą ulicą, to nie trzeba było nikomu z drogi ustępować, mówiliśmy sobie, to o tem, to o owem, ale już na placu Św. Aleksandra chmara ludzi, a Rodek nic tylko wali środkiem trotuaru.

(C. d. n.). *Antonina Morzkowska.*

W zimową burzę

(Gawęda przy kominku).

(Ciąg dalszy).

O, trudno im było... tak ciężko, że Boże nie dowódź raz drugi, bo nie wytrzymaliby. Ani ten chory, ani ona przy nim zarobić przecie nie mogli, a żyć wszak trzeba — choć byle co przegryźć...

Jeszcze, póki on leżał w tej strasznej gorączce, to tylko pić i pić wołał, ona też patrząc na niego, nie o jedzeniu myślała. Ot, już jak bardzo głód w piersi dopiecze, to mocniej tylko fartuch zaciśnie, a jaką tam skórkę suchego chleba skąd wygrzebie i jak mysz ją gryzie — i dosyć ma.

Ale później — o Boże ty miły! — Ihnat jednej nocy popadł w taką słabość, że ot już, już dusza z ciała wyjść miała. Ona przy nim siedziała i własnemi oczami widziała, jak mu śmierć po twarzy czarnym cieniem chodziła. Och, długaż to była noc. – Myślała, że jak dzień zaświta, to już ją zastanie sierotą, samą, samiutką na świecie.. Kij wtedy weźmie a torbę i pójdzie w świat, bo cóż jej innego zostanie? Ale wpierw trzeba będzie pochować Ihnata, a kto trumnę zechce zrobić, kiedy niema czem zapłacić, a czy pop zechce pochować, kiedy niema mu co dać? I od tych wszystkich myśli było jej czarno i straszno, jak nigdy w życiu. Bo co innego, kiedy człowiek jeszcze ma siły i choćby troszkę młodości, wtedy i straszne rzeczy nie są straszne, bo mówi się sobie, ot jakoś przeniosę! ale jak ma się już lat siedemdziesiąt, jak z każdym dniem sił coraz ubywa, a znikąd pomocy, a bieda przed sobą, a jedyny pomocnik, dziecko jedyne, co się je w nędzy a trosce hodowało i jedyne na całym świecie kochało, teraz w oczach starej, samotnej matki umiera...

I łzy, jak groch, bujnemi kroplami spłynęły jej nagle po twarzy.

Otarła je prędko, a potrząsłszy głową w głębokiem zamyśleniu, po chwilce znowu opowiadanie swoje podjęła.

Tak ta jej noc długą była, jakby życie całe.

Aż tu pod dzień patrzy, pożółkło zupełnie czoło Ihnata, a po niem jak rosa rzęsista, woda wystąpiła. A sam leży wyprężony i nieruchomy — do trumny kłaść tylko. Serce w niej bić przestało. Boże jedyny, to już?.. I nie wiedziała, czy paść tak na niego i wołać i płakać. A on pocił się coraz obficiej, już po twarzy całej i piersiach woda ta lśniła. Nagle przypomniała sobie — trzeba spróbować... Bo to jest znak nieomylny: jeśli sól jest w pocie śmiertelnym, to jest i życie, a jak nie — to nie. Więc się schyliła i czoła językiem dotknęła. O Bożeńku drogi! sól, sól najczystsza. I taka ją nagle żałość i rzewność wzięła, że jak pot jemu, tak jej łzy z oczu jak strumień trysnęły. Wsparła głowę o jego wezgłowie, a potem sama już nie pamięta, kiedy usnęła.

Gdy się ocknęła, dzień już był. Spojrzała, a Ihnat patrzy się na nią i woła z cicha: »Mamo!« Jej zdało się wtedy, że drugi raz narodził się dla niej.

I znowu głos jej zadrżał i łzy na zaczerwienione wystąpiły powieki I była głębiej wzruszona, przy tem wspomnieniu radośnem, niż wtedy, kiedy mówiła o smutkach. Łatwo poznałam, iż rzadszym i uroczystszym gościem w jej życiu jest radość.

Ale po chwilce szczęśliwej, teraz dopiero zaczęła się prawdziwa męka dla niej i dla niego. Jak świt nastanie, zdźwignie się Ihnat na posłaniu i jednym głosem woła: Mamo, jeść, jeść!«... Ach, małem dziecięciem będąc, nigdy tak żałośnie o p erś nie kwilił. — Toż się nabiegała wtedy, a naprosiła u ludzi, a wstydu i gniewu ludzkiego najadła... A przecie musiała mu coś dać. A bywało tak, że nic dać nie było. Wtedy patrzał dziko — chudy, wielkiemi oczyma źle patrzał — aż strach ją brał... Gdyby mu moc, kto wie, topór możeby chwycił...

— A czemużeście nie przyszli do dworu?

— O, byłam ci ja, byłam; pani dała bochenek chleba i garniec grochu, aleśmy to w parę dni zjedli... Zarabia się długo, a je się prędko, paniczka moja...

— Skądże mu to tak przyszło? ta choroba? — Spytałam po chwili, kiedy zamyślona staruszka pewno we wspomnieniu przeżywała nanowo smutne te chwile.

Podniosła głowę, z wielkiem zadziwieniem nad moją nieświadomością patrząc na mnie.

— Z pożaru przecie, z tego pożaru u Baranowskich.

Przypomniałam sobie, że tej zimy u szlachcica Baranowskiego, dzierżawcy dziedzica, a bezpośredniego sąsiada wioski, wszczął się był pożar nocą; prędko jednak został ugaszony i żadnej większej szkody nie przyczynił.

— Cóż Ihnat tam robił?

— Siedział na dachu i rąbał krokwie, co gorzały. Nocą to było, a taki mróz dojmował, że aż trzęsło. Spostrzegł łunę w okienku, porwał się zgrzany z pościeli, tyle, że kożuch na plecy narzucił, i leci. Mówię mu, a co tam, że Baranowski się pali; nie mało ma bogactwa, nie zubożeje, i nam nic do niego — a Ihnat zakrzyczał na mnie, że od rzeczy gadam, że ratować w nieszczęściu zawsze każdego potrzeba i jak warjat popędził. Krzyczałam na niego: ściśnił pasem kożuch, ściśnij pasem! hen, posłuchaj właśnie, słucha on mnie kiedy! Jeszcze tam, na dachu, widziałam, cisnął kożuch na ziemię, bo spocił się przy rąbaniu.

Ot, z tego wszystko poszło. Na trzeci dzień po pożarze nikogo już nie poznawał...

— Wasz syn jest szlachetnym człowiekiem, kiedy tak z zapomnieniem o sobie śpieszy na ratunek drugim — zauważyłam.

— Eh, paniczka moja, on zawsze takim był, od maleństwa, — odparła ni to stroskana, ni to pochlebiona moją opinją. — A kto z wiosny wyciągnął Iwanka pastuszka, kiedy tonął w sadzawce. Byli i silniejsi i lepsi pływacze, ale ci stali na brzegu i jeden drugiego posyłał, a Ihnat przybiegł, zobaczył i niepytając nikogo, skoczył do wody... A jak był mały, kiedy go jeszcze posyłałam do szkoły, to co który z chłopców spłata, zawsze na niego złoży, a on — choćby poskarżył się kiedy... Bił-że go nauczyciel, bił — nie dowódź Boże.

— To Ihnat chodził do szkoły? Piśmienny?

(C. d. n.) *W. Dalecka.*

„MRÓWKI“.

„ Szesnaście pogadanek z notatek Stanisława Kluczyckiego. W Krakowie 1897“.

W sądzie naszym o dziełach, przeznaczonych dla szerszego ogółu, musimy zawsze być dość pobłażliwymi. W pracach zoologicznych możemy przebaczyć pominięcie genealogji opisywanych zwierząt i wielu szczegółów anatomicznych, mogących interesować tylko specjalistę. Pomimo tej pobłażliwości jednak i pomimo pozostawiania autorowi zupełnej swobody, co do zakresu, w jakim przedmiot swój chce opracować, nie możemy wybaczyć mijania się z prawdą, bez względu na to, czy pochodzi ono z nieświadomości autora, czy też z chęci stania się popularniejszym; nie możemy również wybaczyć niekonsekwencji polegającej na różnorodnym sposobie pojmowania jednego i tego samego faktu.

Błędy tego rodzaju posiada dzieło p. Kluczyckiego p. t. »Mrówki«. Jakkolwiek autor nadał mu skromny tytuł »pogadanek naukowych«, jednakże umieszczając na wstępie genealogją mrówek, następnie zaś ich anatomją, wyczerpał przedmiot tak, jak wyczerpać go powinien specjalista, pracujący nad ich monografją.

Pogląd na stanowisko mrówek w systemie zwierząt członkonogich, podany we wstępie bardzo szczegółowo, choć błędnie — był w dalszym ciągu ustawicznie przez autora zmienianym.

»Taksonomja« — czytamy na str 1-szej — »czyli uszykowanie zwierząt w skupienia, według cech morfologicznych, wstawia mrówki, do typu członkonogich (Arthropoda), a tu zalicza je do gromady owadów (Insecta, Hexapoda), gdzie należą do rzędu błonkówek (Hymenoptera). W tym rzędzie są mrówki pokrewnemi rodziny żądłówek (Aculeata) i stanowią rodzaj owadów mrówkowatych (Formicidae), rozpadający się na liczne gatunki (Species)«.

Dlaczego autor używa wyrazów r o d z a j i g a t u n e k w innem znaczeniu, niż wszyscy zoologowie, trudno nam zrozumieć. Wiadomo, że nazwę rodzajową wymienia się zawsze przy nazwie gatunkowej, jako pierwszy wyraz. G a t u n e k więc Formica rufa, należy do r o d z a j u Formica, g a t u n e k Lasius fuliginosus do r o d z a j u Lasius, g a t u n e k Oecodoma texana do r o d z a j u Oecodoma itd. — nigdy zaś nie nazywamy wszystkich mrówkowatych (Formicidae) r o d z a j e m i nie możemy o nich powiedzieć, że rozpadają się bezpośrednio na g a t u n k i (species), gdyż pokrewieństwo Formicidae może być podzielonem najpierw na r o d z a j e (genus), a r o d z a j e dopiero na g a t u n k i (species). Gdyby autor przynajmniej w dalszym ciągu swej pracy używał wyrazów tych w tem samem znaczeniu, w jakiem używa ich we wstępie, moglibyśmy sądzić, że ma własną swą terminologją i o prace poprzedników wcale się nie troszczy. Zmieniając jednak ustawicznie ich znaczenie, dowiódł, że ich nie rozumie.

Na str. 1-szej i 29-tej Formicidae noszą nazwę rodzaju. Na str. 36-tej Oecodoma texana nosi również nazwę rodzaju. Na str. 8-ej Atta jest gatunkiem — na str. 10-tej Pheidole jest rodziną, dzielącą się na gatunki — na str. 22-giej kopciuszek (Lasius fuliginosus) jest gatunkiem, ale autor mówi także o »innych z tego gatunku«.

O stopniu pokrewieństwa pomiędzy opisywanymi przez p. Kluczyckiego owadami — jak widzimy — nie może czytelnik urobić sobie żadnego pojęcia. Nie może sobie zdać sprawy nawet, dlaczego autor mówi o »rodzaju« Oecodoma texana, skoro Oecodoma texana stanowiąc »rodzaj«, nie może należeć do drugiego »rodzaju« Formicidae.

Jeszcze bardziej rażące błędy i niekonsekwencje spotykamy w morfologji mrówek.

»Pod mikroskopem« — powiada p. Kluczycki — »możemy wyróżnić na przodzie głowy narzędzia pyszczkowe (mandibula), to jest czeluść gęby, żuchwy i żuwaczki, czyli szczęki. Te ostatnie wyglądają mniej więcej jak pokazuje figura 16. (str. 13.), oraz 26 i 27 (str. 63), lecz są u różnych gatunków odmiennie osadzone i uzębione«.[1])

Z tych kilku słów okazuje się, że autor nie znał nazw polskich, odpowiadających nazwom łacińskim, że nie wiedział, jakie części w »pyszczku« mrówki się znajdują, i że nie wiedział, co jego rysunki przedstawiają. A mianowicie:

---

[1]) Str. 3.

Nazwa mandibula nie oznacza wcale »narzędzi pyszczkowych« w ogólności lecz szczękę pierwszej pary, czyli żuwaczkę.

»Czeluść gęby nie należy do »narzędzi pyszczkowych«, gdyż żadna czeluść, otwór, ani żadna dziura, jama etc., będąc brakiem materji, nie może być narzędziem.

Figury 16, 26 i 27 przedstawiają żuwaczki (mandibulae), a nie szczęki (maxillae).

Gdyby autor był lepiej poznał budowę narządów paszczowych u mrówek, byłby się przekonał, że składają się one: 1) z wargi górnej (labrum, labre ou lèvre superiéure), 2) z szczęk górnych, czyli żuwaczek (mandibulae, les mandibules), 3) ze szczęk właściwych (maxillae, les mâchoires), 4) z wargi dolnej zewnętrznej (labium, lèvre inferieure) i wreszcie 5) z języka (lingua, la langue), który stanowi u owadów jakby część wewnętrzną wargi dolnej.

Gdyby p. Kluczycki był porównał podane w swej pracy rysunki głowy i »szczęki« mrówki (Fig. 10. str. 13., Fig. 26. i 27. str. 73) z takimiż rysunkami Forela[2]) byłby się przekonał, że »szczęki« w jego rysunkach są żuwaczkami (mandibulae).

Dalej dowiadujemy się, że »za pomocą szyi łączy się głowa z tułowiem, który u mrówek przedstawia pierś (sternum) i plecy (notum) — bo żołądek i inne życiowe narządy umieszczone są w odwłoku«,[3]) Wyrażenie to wygląda tak, jakgdyby autor uważał piersi i plecy za jakieś »narządy życiowe«, lub przynajmniej za stałe siedlisko pewnych narządów, podczas gdy nazw tych używamy tylko na określenie pewnych okolic ciała, bez względu na czynności, jakie pełnić mogą narządy, umieszczone w tych okolicach.

Równie błędnym jest opis czułków, i nóg mrówki:

»Nogi mrówek mają po 5. członków: biodro, krętacz, udo, piszczel i stopa z pięciu palców utworzona, której spód jest podeszwą. Każda nóżka opatrzoną jest nadto dwoma silnemi pazurkami«[4]).

Mówiąc o pięciu palcach, miał autor zapewne na myśli 5. członków, z których się składa stopa czyli tarsus. Nadanie nazwy palców tym członkom, świadczy, że autor albo nie rozumie tej nazwy, albo nie ma jasnego pojęcia o budowie nogi owadów.

W dalszym ciągu, opisując cienką »kibić« mrówki, powiada autor, że »trudno pojąć, jak tam (u mrówek) mieszczą się wszystkie przewody pokarmowe«[5]).

Nam trudno tylko pojąć, dlaczego p. Kluczycki mówi o nich w liczbie mnogiej, i dlaczego dodaje jeszcze wyraz »wszystkie«.

[2]) Les fourmis de la Suisse par Auguste Forel 1874. Pl. I. fig. 7, 8.
[3]) Str. 4.
[4]) Str. 5.
[5]) Str. 13.

Oprócz wykazanych powyżej błędów, dotyczących morfologji, zawiera praca p. Kluczyckiego nową terminologją naukową, z którą nie zawsze możemy się zgodzić. Wiedząc, że każdą prawie stronicę, ozdabia obok pięknych rycin, niezrównany humor i dowcip autora, a przeczytawszy wyrwane ze środka zdanie, że samiec mrówki łąkowej posiada 1200 facetek, możnaby przypuścić, że autor w przystępie dobrego humoru posługuje się stylem brukowym, dla określenia poligamji. Jednakże tak nie jest. Pan Kluczycki nie jest tak złośliwym, a mrówki tak niemoralnemi. Facetki te, to tylko części oka mrówki, są to graniaste płaszczyzny rogówki jej oczu. Co jednak oznacza wyraz »tybinki«, daremnie sililibyśmy się odgadnąć — dla większego jednak podrażnienia naszej ciekawości, powiedziano tylko, że są one »często koloru brunatnego«[6]).

Oprócz opisu kształtu zewnętrznego i szczegółowego przedstawienia strony psychicznej mrówki, znajdujemy w dziele p. Kluczyckiego częste wycieczki w dziedzinę nauk, nie mających ścisłego związku z mrówką, Ale i na tem polu szczęście nie zawsze sprzyjało autorowi. Czytamy np. na str. 3-ciej:

»Autochtony Australji nie posiadają... prócz dzikiego psa Dingo żadnego przyswojonego zwierzęcia«.

Czy wszystkie objawy umysłowosci u mrówek są czynnościami wypływającemi z bezwiednego instynktu — na to pytanie nie mamy zamiaru odpowiadać na tem miejscu. Nie chcemy również rozstrzygać kwestji, podniesionej przez autora, czy duszę należy umieścić w głowie, w piersi, czy w żołądku[7]) — czy Św. Augustyn i Tomasz mieli słuszność, utrzymując, że Bóg stwarzając ciało człowieka użył do tego aniołów, czy też mieli słuszność ich przeciwnicy Bazyli, Ambroży i Cyryl[8]). Zdziwiło nas jednak bardzo zdanie, że materjaliści wymagają wiary na słowo dla swoich mniemań[9]) — wiemy wprawdzie, że zarzucanie przeciwnikom wszystkich wad możliwych, nawet wad własnego stronnictwa, jest zawsze najskuteczniejszą bronią — pomimo tego podziwiać musimy odwagę tych, którzy bez względu na jakość broni, używają jej tylko dlatego, że sądzą, iż jest skuteczną.

Mieczysław Grochowski.

[6]) Str. 67.
[7]) Str. 95.
[8]) Str. 96.
[9]) Str. 100.

Morowe powietrze.

Najstraszniejsza zaraza dla rodu ludzkiego — czarna śmierć — zabierająca dziś tyle ofiar w Azji, a grożąca przez mnogość i szybkość dzisiejszych środków komunikacyjnych innym częściom świata, pochłonęła w XIV. wieku (1347) czwartą część ludności podówczas znanej powierzchni ziemi.

Zarazka tej choroby dotąd nie zbadano, ani też drogi, jaką się do organizmu ludzkiego dostaje i szerzy wśród ludzi, na pewno nie oznaczono. Zazwyczaj zarazek a więc i choroba udziela się przez bezpośrednie zetknięcie się z chorym, a zwłaszcza przedmiotami przez chorych używanymi. Czy następuje także zarażenie przez powietrze, nie stwierdzono na pewno, jakkolwiek i na tę drogę wskazują.

Klimat lub zmiany powietrza na zarazek wpływu nie mają, natomiast pewne własności ziemi mają mieć dla niego znaczenie, gdyż — jak twierdzą — zarazek, ten w ziemi ma się przechowywać, a uwagi godnem jest spostrzeżenie, że przed każdym wybuchem moru między ludźmi, panuje taka sama zaraza między szczurami, które uciekają ze swych w ziemi kryjówek do mieszkań ludzkich i tu w ogromnej liczbie giną.

Dżuma nie oszczędza żadnego wieku ludzi, a najłatwiej ulegają jej ludzie źle odżywieni i żyjący wśród niekorzystnych warunków hygienicznych. Nazywają ją też chorobą gruczołów limfatycznych, gdyż w tych właśnie znajdują się najważniejsze zmiany chorobowe. Czy zmiany te są pierwotne, to znaczy wywołane przez usadowienie się w nich zarazka dżumy czy następowe, nie wiadomo — stwierdzono tylko, że wśród przebiegu tej strasznej choroby obrzmiewają gruczoły limfatyczne tak zewnętrzne jak i wewnętrzne całego organizmu.

Klinicznie przebiega dżuma pod trzema postaciami:

1. Postać lekka rozpoczyna się nieznacznym bólem głowy, dreszczem a wśród nie wysokiej gorączki rozpoczyna się obrzęk gruczołów pachowych, pachwinowych, karkowych; chory od czasu do czasu wymiotuje, a po trzech do sześciodniowej gorączce gruczoły ropieją, otwierają się na zewnątrz, gorączka wśród potów opada — po czem następuje wyzdrowienie.

2. Postać średnio ciężka: bardzo szybko rozwija się obraz choroby, do ciężkiego tyfusu, podobny: wysoka gorączka, majaczenia, wymioty, osłabienie serca. Jeżeli gruczoły poczynają brzęknąć, to objawy te nieco łagodnieją i zazwyczaj szóstego dnia choroby następuje polepszenie, przy czem gruczoły otwierają się i następuje okres ozdrowienia jeden do trzech tygodni trwający. Atoli większa liczba chorych ginie przed szóstym dniem.

3. Postać ciężka, bardzo prędko przebiegająca wśród objawów ciężkiego zakażenia krwi charakteryzuje się krwotokami do skóry, płuc, nerek, przewodu pokarmowego — stąd nazwa »czarna śmierć« gorączka nie wysoka, uczucie lęku i bardzo szybki zapad sił. Do obrzęku i ropienia gruczołów prawie nie przychodzi.

W leczeniu mają mieć wagę zabiegi chirurgiczne, jak otwieranie ropni i środki dezynfekcyjne. Obecnie francuski lekarz dr. Gersin robi próby z zastrzykiwaniami surowicy antidżumowej.

Czy Europa ustrzeże się przed tem strasznem nieszczęściem — na to odpowiedzieć nikt na pewno nie może, gdyż ani handlu zamorskiego zupełnie przerwać nie można, ani też wstrzymać tłumów europejskich Mahometan, pielgrzymujących do Mekki, gdzie spotykają się ze współwyznawcami z zapowietrzonych okolic, a skąd łatwo zarazę dalej ponieść mogą. *Dr. F.*

Błędy językowe.*)

1) Nie piszemy *w miejsce*, ale *zamiast*. »W miejsce« jest krzyczącym błędem przeciwjęzykowym.

2). Nie mówi się *seperacja, seperatka, reperacja, reperować*, lecz *separacja, separatka, reparacja, reparować*, bo wyrazy te pochodzą od łacińskich *separo* i *reparo*.

Wiadomości bibljograficzne.

Morzycka F. Wielki charakter, czyli życie Benjamina Franklina. Warszawa 1897, w 8ce małej, str. 74 i 1 nl., z portretem. 25 kop.

— Z dalekiej północy: Norwegja, Szwecja, Dania, Islandja i Laponia. Warszawa 1896, w 8-ce, str. 120, z rycinami w texcie. 25 kop.

*) Warszawski tygodnik „Głos" umieszcza od dłuższego czasu wskazówki Jana Karłowicza, mające na celu oczyszczenie naszego języka od obcych naleciałości i wtrętów. Korzystając z łaskawego upoważnienia czcigodnego Autora, dzielimy się z czytelnikami „Tygodnia" jego cenną pracą.

(Przyp. Red.)

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie